



BERNARD

Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM VII



POGAŃSKI
PAN



B E R N A R D
Cornwell

POGAŃSKI
PAN

TŁUMACZENIE
JAKUB JEDLIŃSKI


OTWARTE
KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *The Pagan Lord*

Copyright © Bernard Cornwell 2013

Copyright for this edition © Wydawnictwo Otwarte 2019

Tłumaczenie: Jakub Jedliński

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-563-1



www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

CZĘŚĆ PIERWSZA

OPAT

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niebo było chmurne.

To bogowie tworzą niebo, ono odzwierciedla ich nastrój, który w tych dniach był chmurny. Choć panowała pełnia lata, ze wschodu zaczął deszcz. Można by pomyśleć, że to zima. Dosiadłem Pioruna, mojego najlepszego wierzchowca. Był to czarny jak noc ogier, tylko wzdłuż jego zadu biegły pasma siwej sierści. Nadałem mu imię po ogromnym psie, którego kiedyś złożyłem w ofierze Thorowi. Niechętnie zabiłem psisko, lecz bogowie są surowi, żądają ofiar, a później o nas zapominają. Mój wierzchowiec był potężnym zwierzęciem, silnym i posępnym rumakiem bojowym, a ja tego chmurnego dnia wystąpiłem w pełni wojennej chwały. Miałem na sobie kolczugę oraz zbroję ze stali i skóry. U mojego lewego boku wisiał przypasany Oddech Węża, najlepszy z mieczy, chociaż do starcia z wrogiem, z którym miałem się zmierzyć, nie potrzebowałem ani miecza, ani tarczy, ani topora. Mimo wszystko wziąłem ze sobą broń, bo Oddech Węża jest moim najlepszym towarzyszem. Nadal mam ten miecz. Kiedy umrę, co nastąpi już niedługo, ktoś zaciśnie moje palce na jego owiniętej w skórę, zużytej rękojeści, a on zaprowadzi mnie do Walhalli, do komnaty poległych, i tam będziemy ucztować.

Dzień ten jednak jeszcze nie nadszedł.

Tego chmurnego letniego dnia siedziałem na koniu pośrodku błotnistej drogi i czekałem na wroga. Słyszałem ich, ale nie widziałem. Oni z pewnością wiedzieli o mojej obecności.

Droga była na tyle szeroka, żeby pomieścić dwa mijające się wozy. Po obu stronach stały domy wzniesione z gliny i drewnianych prętów, pokryte strzechą z trzciny pociemniałej od deszczu i porosłej mchami. Błoto sięgało końskich pęcín, trakt pokrywały koleiny i nieczystości pozostawione przez walęsające się samopas psy i wieprze. Przenikliwy wiatr marszczył wodę zebraną w koleinach i rozwiewał dym unoszący się nad dziurami w dachach chałup, niosąc ze sobą zapach palonego drewna.

Towarzyszyło mi dwoje ludzi. Wyjechałem wprawdzie z Londynu z dwudziestoma dwoma wojownikami, ale w tej cuchnącej gównem, spowitej deszczem wiosce miałem do załatwienia prywatne sprawy, zostawiłem więc ich milę od tej miejsciny. Na siwym ogierze stał obok mnie Osbert, mój najmłodszy syn. Skończył już dziewiętnaście lat, ubrany był w kolczugę, a u pasa miał miecz. Osiągnął wiek męski, chociaż ja nadal myślałem o nim jak o chłopaku. Bał się mnie tak samo, jak ja bałem się swojego ojca. Niektóre matki sprawiają, że ich synowie stają się miękcy, ale Osbert nie miał matki, a ja wychowywałem go surowo, bo męczyzna musi być twardy. Świat jest pełen wrogów. Chrześcijanie mówią, że należy miłować nieprzyjaciół i nadstawiać drugi policzek. Chrześcijanie to głupcy.

Przy Osbercie stał Aethelstan, najstarszy bastard króla Edwarda z Wessexu. Miał tylko osiem lat, ale tak jak Osbert nosił kolczugę. Nie udało mi się nastraszyć Aethelstana. Próbowałem, ale tylko spojrzął na mnie swoimi zimnymi

niebieskimi oczami i się uśmiechnął. Kochałem tego chłopaka równie mocno, jak Osberta.

Obaj byli chrześcijanami. Prowadziłem beznadziejną walkę. W świecie pełnym śmierci, zdrady i nieszczęścia chrześcijanie zyskali przewagę. Dawnych bogów oczywiście nadal czczono, ale wycofali się oni do dolin otoczonych wysokimi zboczami, odosobnionych miejsc, na mroźne obrzeża świata, chrześcijaństwo zaś szerzyło się jak zaraza. Ukrzyżowany bóg jest potężny. Przyznaję. Zawsze wiedziałem, że ma ogromną moc, i nie rozumiem, dlaczego moi bogowie pozwolili temu łajdakowi zwyciężyć, tak jednak się stało. On musi grać nieczysto. Innego wyjaśnienia nie znajduję. Ukrzyżowany bóg kłamie i oszukuje, a kłamcy i oszuści zawsze wygrywają.

Czekałem więc na tej błotnistej drodze, a Piorun grzebał ciężkim kopytem w kałuży. Na skórzany pancerz i kolczugę założyłem oblamowaną gronostajami pelerynę z granatowej wełny. Miałem też naszyjnik z młotem Thora i hełm zwieńczony figurką wilka. Rozpiąłem osłony policzkowe. Krople deszczu skapywały z runda hełmu. W cholewy wysokich skórzanych butów napchałem szmacianych gałganów, żeby woda nie spływała do środka. Miałem też rękawice, a na ramionach złote i srebrne obręcze, obręcze wodza, które zdobywa się, zabijając wrogów. Stawilem się w całej swej wojennej chwale, choć wróg, z którym chciałem się zmierzyć, nie zasługiwał na takie przejawy szacunku.

– Ojciec – odezwał się Osbert – a co, jeśli...?

– Mówiłem coś do ciebie?

– Nie.

– Więc zamilcz – odburknąłem.

Nie miałem zamiaru zabrzmieć aż tak gniewnie, ale byłem rozgniewany. To był gniew bez ujścia, wściekłość skierowana

przeciwko światu, przeciw głupiemu, szaremu światu, bezsilna wściekłość. Wróg chował się za zamkniętymi drzwiami i śpiewał. Słyszałem ich głosy, chociaż nie mogłem rozróżnić słów. Widzieli mnie, nie miałem co do tego wątpliwości, i wiedzieli, że właśnie moja obecność sprawiła, iż na drodze nie pojawiła się żywa dusza. Ludzie mieszkający w tej wiosce nie chcieli być w żaden sposób zamieszani w to, co miało się tu wydarzyć.

Sam nie wiedziałem, co się stanie, mimo że miałem przyczynić się do tego, co nastąpi. A może drzwi pozostaną zamknięte i wróg przyczai się wewnątrz tej przysadzistej drewnianej budowli? Bez wątplenia o to właśnie chciał zapytać Osbert. A co, jeśli wróg pozostanie w środku? Zapewne nie nazwałby ich wrogiem. Zapytałby: „A co, jeśli oni pozostaną w środku?”

– Jeżeli pozostaną w środku – odezwałem się – wyważę te przeklęte drzwi i wywęlekę tego bękarta na zewnątrz. Wy dwaj zostaniecie tu i przytrzymacie Pioruna.

– Tak, ojczec.

– Pójdę z tobą – powiedział Aethelstan.

– Zrobisz dokładnie tak, jak rzekłem.

– Tak, panie – odparł z szacunkiem, ale wiedziałem, że się uśmiecha.

Nie musiałem nawet się odwracać, żeby zobaczyć jego lekceważący uśmieszek. Nie obejrzałem się na niego, bo w tym momencie śpiewy ucichły. Czekałem. Po chwili drzwi się rozwarły.

I wtedy wyszli. Najpierw sześciu starszych mężczyzn, później młodzi, zobaczyłem, że ci młodszy patrzą na mnie, ale nawet widok rozgniewanego wodza Uhtreda w pełnej krasie nie zdusił ich radości. Uśmiechali się, klepali po plecach, obejmowali i wybuchali gromkim śmiechem.

Starsi mężczyźni byli poważni. Podeszli do mnie, ale ja się nie ruszyłem.

– Powiedziano mi, że jesteś lordem Uhtredem – rzekł jeden z nich.

Nosił brudną białą szatę przepasaną sznurem, miał siwe włosy i brodę, ogorzałą od słońca wąską twarz i głębokie bruzdy wokół oczu i ust. Włosy opadały mu poniżej ramion, a broda sięgała pasa. Pomyślałem, że ma twarz przebiegłą, ale budzącą szacunek. Musiał być kimś ważnym wśród duchownych, bo trzymał masywną laskę zwieńczoną ozdobnym srebrnym krzyżem.

Nie odpowiedziałem mu. Patrzyłem na młodszych mężczyzn. W większości byli to chłopcy albo młodzieńcy. Od ich czaszek, w miejscu wygolonych włosów, odbijało się blade światło dnia. Z budynku wyszła grupa starszych osób, domyśliłem się, że byli to rodzice tych chłopaków i młodych mężczyzn.

– Lordzie Uhtredzie – odezwał się znów starzec.

– Przemówię, kiedy będę gotów – odburknąłem.

– To niewłaściwe – odparł, wyciągając w moją stronę krzyż, jakby miało mnie to przestraszyć.

– Przeplucz swą cuchnącą gębę kozimi szczynami! – rzuciłem.

Zobaczyłem chłopaka, po którego tu przyjechałem, i ścisnąłem boki Pioruna piętami. Dwóch starców próbowało mnie zatrzymać, ale mój rumak klapnął zębami, zmuszając ich do ucieczki. Nawet zbrojni we włócznie Duńczycy umykali przed Piorunem, nic dziwnego więc, że starcy też rozpierzchli się jak wróble.

Poprowadziłem ogiera w stronę grupki młodzieńców, nachyliłem się w siodle i chwyciłem młodzika w czarnej szacie.

Podniosłem go, przerzuciłem przez siodło i dałem kolanami znak Piorunowi, żeby zawrócił.

I wtedy zaczęły się kłopoty.

Dwaj czy trzej młodszy mężczyźni próbowali mnie zatrzymać. Jeden z nich złapał za uzdę mojego rumaka, i to był jego błąd, poważny błąd. Koń trzasnął zębami, a młodzik krzyknął. Pozwoliłem rumakowi stanąć dęba i stratować go przednimi kopytami. Usłyszałem dźwięk kości łamiących się pod ciężkimi podkowami i zobaczyłem jasną krew. Piorun, przebierając kopytami, ruszył do przodu, gdyż został wyszkolony tak, żeby nie pozwolić wrogowi okaleczyć swoich tylnych nóg. Ścisnąłem mu boki piętami, ale zdążyłem jeszcze zobaczyć leżącego mężczyznę z zakrwawioną czaszką. Kolejny głupiec chwycił za mój prawy but, próbując ściągnąć mnie z siodła, wymierzyłem cios dłonią i uwolniłem się od niego. Do walki stanął też mężczyzna o długich włosach. Pobiegł za mną, krzyżąc, że mam uwolnić jeńca, a później – jak dureń – zamachnął się ciężkim srebrnym krzyżem na długim drzewcu, celując w czoło Pioruna. Ale mój koń był szkolony do walki, więc zrobił unik, a ja wychyliłem się z siodła, złapałem za laskę i wyrwałem ją z rąk starca. Ten jednak nie rezygnował. Obrzucał mnie przekleństwami, złapał za uzdę i próbował zawrócić wierzchowca w stronę grupy młodych, zapewne z nadzieją, że ulegnę ich przewadze liczebnej.

Podniosłem drzewce i z całej siły uderzyłem. Użyłem grubszego końca niczym włóczni, nie wiedząc, że jest zakończony metalowym kolcem, zapewne by wbijać krzyż w ziemię. Zamierzałem tylko ogłuszyć gardłującego głupca, ale zamiast tego wbilem mu boleć w głowę. Przebiłem mu czaszkę. Krew rozjaśniła ów ponury, pochmurny dzień. Na ten widok zaczęto wzywać chrześcijańskie niebiosa, a ja upuściłem drzewce.

Mężczyzna ubrany w białą szatę, teraz poplamioną posoką, stał, chwiejąc się, otwierał i zamykał usta, z zaszklonymi oczami i krzyżem wbitym w głowę. Jego siwa broda zrobiła się czerwona, po chwili się przewrócił. Upadł martwy jak kamień.

– Opat! – wykrzyknął ktoś.

Spiąłem Pioruna i koń ruszył z kopyta, rozpędzając ostatnie grupki młodzików i zostawiając z tyłu ich krzyczące matki. Chłopak, którego uwoziłem przerzuconego przez siodło, próbował walczyć, uderzyłem go więc w skroń, gdy tylko wyjechaliśmy spośród ciżby na otwartą drogę.

To był mój syn. Mój najstarszy syn. Uhtred, syn Uhtreda. Nie zdążyłem przyjechać z Londynu na czas, by powstrzymać go przed staniem się mnichem. O jego decyzji dowiedziałem się od wędrownego kaznodziei, jednego z tych długowłosych klechów o zapuszczonych brodach i z obłędem w oczach, którzy naciągają głupców, żeby oddawali im srebro w zamian za błogosławieństwo.

– Chrześcijaństwo się raduje – powiedział, patrząc na mnie chytrze.

– Raduje się? Z czego? – zapytałem.

– Iż twój syn zostanie mnichem. Za dwa dni, słyszałem o tym w Tofeasterze.

I tym właśnie zajmowali się ci chrześcijanie w swoim kościele, wyświęcaniem swoich czarowników, zmienianiem chłopców w ubranych na czarno klechów, którzy rozpowszechniają plugastwa, i mój syn, mój najstarszy syn, został przeklętym chrześcijańskim mnichem. Znów go uderzyłem.

– Ty łajdaku – rzuciłem. – Ty tchórzliwy łajdaku. Ty wiarolomny durniu.

– Ojczy... – zaczął.

– Nie jestem już twoim ojcem – odwarknąłem.

Powiozłem go drogą do miejsca, gdzie pod ścianą stodoły zalegała szczególnie cuchnąca sterta mokrego łąjna. Wrzuciłem go w gnój.

– Nie jesteś już moim synem – rzekłem. – I nie nazywasz się Uhtred.

– Ojczy...

– Chcesz poczuć Oddech Węża na gardle?! – krzyknąłem. – Jeśli chcesz pozostać moim synem, zdejmij ten przeklęty czarny habit, wdziej kolczugę i rób, co każę.

– Służę Bogu.

– Więc wybierz sobie własne, przeklęte imię. Nie jesteś już Uhtredem Uhtredsonem. Osbercie! – zawołałem, obróciwszy się w siodle.

Młodszy syn skierował swojego ogiera w moją stronę. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Ojczy?

– Od dziś nazywasz się Uhtred.

Chłopak spojrział na brata, a później znów na mnie. Niechętnie przytaknął.

– Jak masz na imię? – zapytałem.

Nadal się wahał, ale widząc mój gniew, odpowiedział:

– Mam na imię Uhtred.

– Jesteś Uhtredem Uhtredsonem, moim jedynym synem – oznajmiłem.

Dawno temu to samo mnie się przytrafiło. Mój ojciec, imieniem Uhtred, nazwał mnie Osbertem, ale kiedy Duńczycy zabili mojego starszego brata, przyjąłem jego imię. W naszej rodzinie tak było od zawsze. Najstarszy syn nosi to imię. Moja macocha, głupia kobieta, nawet po raz drugi mnie ochrzciła, mówiąc, że aniołowie strzegący bram niebios nie rozpoznają mnie pod

nowym imieniem, zostałem więc zanurzony w beczce z wodą, ale chrześcijaństwo spłynęło po mnie – niebiosom niech będą dzięki – odkryłem dawnych bogów i od tamtej pory ich czczę.

Dogoniło nas pięciu starszych duchownych. Dwóch z nich znałem: byli to bliźniacy Ceolnoth i Ceolberht. Jakieś trzydzieści lat temu razem ze mną zostali zakładnikami w Mercji. Duńczycy pojмали nas, gdy byliśmy chłopcami. Ja przywitałem to zrzządzenie losu z otwartymi ramionami, ale bliźniacy nie mogli się z tym pogodzić. Teraz byli starzy, dwaj identyczni mnisi o masywnej budowie ciała, siwiejących brodach i sinych ze złości, okrągłych obliczach.

– Zabieś opata Wihtreda! – rzucił w moją stronę jeden z braci.

Był wściekły, roztrzęsiony, ze złości wyrażał się bez ładu i składu. Nie miałem pojęcia, z którym bliźniakiem mam do czynienia, nigdy nie potrafiłem ich rozróżnić.

– A ojciec Burgred ma zmasakrowaną twarz – powiedział drugi.

Zrobił ruch, jakby zamierzał chwycić Pioruna za uzdę, szybko więc obróciłem konia i pozwoliłem, aby napędził im stracha żółtymi zębiskami, które wcześniej poharatały buźkę świeżo wyświęconego mnicha. Bracia się cofnęli.

– Opata Wihtreda – powtórzył imię pierwszy bliźniak. – Najświętszego z ludzi chodzących po ziemi!

– Zaatakował mnie – odparłem.

Prawdę powiedziawszy, nie miałem zamiaru zabijać starca, ale nie było sensu im o tym mówić.

– Odpokutujesz za to! – zawołał jeden z braci. – Będziesz przeklęty na wieki!

Drugi wyciągnął rękę do nieszczęsnego chłopaka leżącego w kupie gnoju.

– Ojczy Uhtredzie – powiedział.

– Nie nazywa się już Uhtred – burknąłem – a jeśli ośmieli się używać tego imienia – spojrzalem na niego i ciągnąłem: – odnajdę go i rozpruję mu brzuch do kości, po czym nakarmię jego tchórzliwymi flakami moje wieprze. Nie jest moim synem. Nie jest godzien być moim synem.

Człowiek niegodny bycia moim synem, cały przemoczo-ny, wygramolił się ze sterty nieczystości, ociekając łajnem. Spojrzał na mnie.

– Więc jak się nazywam? – zapytał.

– Judasz – odparłem z drwiną.

Zostałem wychowany jako chrześcijanin i musiałem wysłuchiwać wszystkich tych ich historyjek, pamiętałem więc, że mężczyzna o imieniu Judasz zdradził ukrzyżowanego boga. Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. Ten bóg musiał zginąć na krzyżu, żeby zostać ich zbawicielem, a teraz chrześcijanie obwiniają człowieka, który umożliwił mu wypełnienie jego przeznaczenia. Uważałem, że powinni raczej otoczyć go czcią jak świętego. Ale oni napiętnowali go jako zdrajcę.

– Judasz – powtórzyłem zadowolony, że zapamiętałem to imię.

Chłopak, który był kiedyś moim synem, kiwnął głową.

– Od teraz... – powiedział do bliźniaków – chcę, żeby nazywano mnie Judasz.

– Nie możesz przybrać imienia... – zaproponował Ceolnoth albo Ceolberht.

– Jestem ojcem Judaszem – powtórzył chłopak.

– Będziesz ojcem Uhtredem! – krzyknął do niego jeden z braci, a potem wskazał na mnie. – On nie ma tu żadnej władzy! Jest poganinem, wyrzutkiem znieawidzonym przez Boga!

Cały trząśł się z wściekłości, ledwie był w stanie mówić, ale wziął głęboki oddech, zamknął oczy i podniósł obie ręce ku zachmurzonemu niebu.

– O Boże! – zawołał. – Ześlij swój gniew na tego grzesznika! Ukarz go! Zniwecz jego ciało, niech powali go choroba! Okaż swoją moc! O Panie! – Jego krzyk zmienił się w pisk. – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, przeklinam tego człowieka i cały jego ród.

Wziął oddech, a ja dałem znak Piorunowi, ściskając go kolanem, i wierzchowiec podszedł do tego pomstującego głupca. Byłem równie wściekły, jak bliźniacy.

– Przeklnij go, o Panie! – zawołał mnich. – Okaż miłosierdzie i go poniż! Przeklnij go i ród jego, niech nigdy nie zaznają Twej łaski! Ukarz go, ześlij na niego plugastwo, ból i nędzę!

– Ojczy! – krzyknął człowiek, który niegdyś był moim synem.

Aethelstan się zaśmiał. Uhtred, mój jedyny syn, wydał stłumiony okrzyk.

Bo kopnąłem tego pomstującego głupiego mnicha. Wysunąłem prawą stopę ze strzemiesienia i z całej siły uderzyłem ciężkim butem, potok słów nagle się przerwał, zastąpiła go krew na wargach. Mężczyzna zatoczył się w tył, prawą dłonią dotykając okaleczonych ust.

– Wypluj zęby – rozkazałem, a kiedy nie chciał posłuchać, zacząłem wyciągać Oddech Węża z pochwy.

Wypluł na ziemię mieszaninę krwi, plwocin i potrzaskanych zębów.

– Jak się nazywasz? – zapytałem drugiego bliźniaka.

Gapił się na mnie z szeroko rozdziawioną gębą, po czym odzyskał przytomność.

– Ceolnoth – odpowiedział.

– Przynajmniej teraz będę was rozróżniał – rzekłem.

Nawet nie spojrziałem na ojca Judasza. Po prostu odjechałem.

Pojechałem do domu.

Możliwe, że klątwa Ceolberhta zadziałała, bo zastałem tam śmierć, spaleniznę i ruiny.

Kanut Ranulfson najechał mój dwór. Podpalił zabudowania. Wymordował ludzi. Porwał Sigunn.

To nie miało żadnego sensu. Moje włości leżały w pobliżu Cirrenceastre, w głębi Mercji. Banda Duńczyków na koniach zapędziła się aż tak daleko w głąb lądu, narażając się na bitwę i pojmanie tylko po to, żeby mnie zaatakować. To byłem w stanie zrozumieć. Zwycięstwo nad Uhtredem zapewniłoby mu sławę, skłoniłoby bardów do układania pieśni o triumfie, ale oni napadli na dwór, kiedy siedziba była niemal pusta. Musieli przecież wcześniej wysłać zwiadowców. Mogli przekupić miejscowych, by dla nich szpiegowali i donosili, kiedy jestem na miejscu, a kiedy mnie nie ma, i ci szpiegzy z pewnością poinformowaliby ich, że zostałem wezwany do Londynu, żeby doradzić ludziom króla Edwarda w sprawie murów obronnych. A jednak zaryzykowali atak na niemal pusty dwór. To nie miało żadnego sensu.

I porwali Sigunn.

Była moją kobietą. Nie żoną. Od śmierci Giseli nie wziąłem sobie nowej żony, choć miewałem kochanki. Aethelflaed stała się moją kochanką, ale ona była żoną innego mężczyzny i córką zmarłego króla Alfreda, nie mogliśmy żyć ze sobą jak mąż i żona. Za to Sigunn ze mną żyła i Aethelflaed o tym wiedziała.

– Gdyby nie było Sigunn, byłaby inna – powiedziała mi pewnego dnia.

– Może kilkanaście innych – odparłem.

– Może.

Wziąłem do niewoli Sigunn w Beamfleot. Jest Dunką, smukłą, bladolicą, ładną Dunką, która oplakiwała śmierć męża, kiedy wyciągnąłem ją z wypełnionego krwią rowu przeciwalewowego. Żyliśmy ze sobą niemal od dziesięciu lat, traktowałem ją z szacunkiem i obwieszałem złotem. Była panią mojego dworu, a teraz zniknęła. Porwał ją Kanut Ranulfson, Kanut Długi Miecz.

– To się wydarzyło trzy ranki temu – powiedział mi Osferth.

Był nieślubnym synem króla Alfreda, który próbował uczynić z niego księdza, ale chociaż chłopak miał twarz i umysł kleryka, wolał zostać wojownikiem. Był ostrożny, skrupulatny, inteligentny, godny zaufania i rzadko tracił cierpliwość. Przypominał ojca, a z wiekiem stawał się do niego coraz bardziej podobny.

– A zatem w niedzielę rano – odparłem posepnie.

– Wszyscy byli wtedy w kościele, panie – wyjaśnił Osferth.

– Z wyjątkiem Sigunn.

– Ponieważ nie jest chrześcijanką, panie – odparł, a ja wyczułem przyganę w jego głosie.

Finan – mój przyjaciel, który przejmował dowództwo, gdy opuszczałem dwór – zabrał dwudziestu mężczyzn, żeby wzmocnić straż Aethelflaed w czasie objazdu Mercji. Robiła przegląd burhów strzegących Mercji przed Duńczykami, a zapewne też oddawała się pobożnym praktykom w rozsianych po całym państwie kościołach. Jej mąż Aethelred niechętnie opuszczał bezpieczną siedzibę w Gleawecestre, więc Aethelflaed wypełniała należące do niego obowiązki.

Miała własnych wojowników, którzy jej strzegli, ale mimo to obawiałem się o jej bezpieczeństwo. Nie ze strony mieszkańców Mercji, bo oni ją kochali, lecz ze strony popleczników Aethelreda. Nalegałem więc, aby wzięła ze sobą Finana i jego dwudziestu ludzi. Pod nieobecność Irlandczyka Osferth dowodził więc oddziałami strzegącymi Faganforda. Zostawił sześciu zbrojnych, żeby pilnowali dworu, stodół, stajni i młyna. I tych sześciu ludzi powinno w zupełności wystarczyć, bo moja posiadłość leży daleko od północnych ziem, opanowanych przez Duńczyków.

– Siebie o to obwiniam – odezwał się Osferth.

– Sześciu to aż nadto – odparłem.

I wszyscy oni polegli, podobnie jak Herric, mój kaleki zarządca, oraz trzech innych służących. Zniknęło czterdzieści czy pięćdziesiąt koni, a dwór spalono. Niektóre ściany nadal stały – zniszczone, wypalone pnie, ale ze środkowej części budynku została tylko kupa popiołu. Duńczycy pojawili się nagle, wyłamali wrota, zabili Herrica i wszystkich, którzy próbowali stawić im opór, po czym pojмали Sigunn i odjechali.

– Wiedzieli, że wszyscy będziecie w kościele – powiedziałem.

– Dlatego właśnie zrobili to w niedzielę – dokończył myśl Sihtric, jeden z moich ludzi.

– Wiedzieli też, że ty nie będziesz brał udziału w mszy – zauważył Osferth.

– Ilu ich było? – zapytałem.

– Około czterdziestu–pięćdziesięciu – odparł cierpliwie Osferth.

Już kilkanaście razy go o to pytałem.

Duńczycy nie dokonują takich najazdów dla rozrywki. Istniało mnóstwo saskich dworów i gospodarstw, do których

bez trudu dotarliby ze swoich ziem, ale oni podjęli ryzyko zapuszczenia się w głąb Mercji. Z powodu Sigunn? Ona przecież nic dla nich nie znaczyła.

– Przyjechali, żeby zabić ciebie, panie – zasugerował Osferth.

W takim wypadku Duńczycy najpierw wysłaliby kogoś na przeszpiegi, przepytaliby napotkanych podróżnych, wiedzieliby, że zawsze mam przy sobie co najmniej dwudziestu zbrojnych. Postanowiłem nie zabierać ich ze sobą do Tofeceasteru, aby ukarać człowieka, który był moim synem, bo wojownik nie potrzebuje dwudziestu ludzi do poradzenia sobie z gromadą mnichów. Mój syn i chłopak byli wystarczającym wsparciem. Ale Duńczycy nie mogli wiedzieć, że jestem w Tofeceasterze, sam nie wiedziałem, iż się tam udam, dopóki nie usłyszałem, że mój przeklęty syn zamierza zostać chrześcijańskim czarownikiem. A jednak Kanut Ranulfson naraził życie swoich ludzi w długim, bezsensownym rajdzie, mimo ryzyka spotkania z moimi wojownikami. Miałby nade mną przewagę liczebną, ale poniósłby ciężkie straty. A przecież zawsze ważył ryzyko i nie narażał się głupio na zbyteczne niebezpieczeństwo. Nic z tego nie miało sensu.

– Jesteś pewien, że to był Kanut Ranulfson? – zapytałem Osfertha.

– Mieli ze sobą jego chorągiew, panie.

– Topór ze złamanym krzyżem?

– Tak, panie.

– A gdzie jest ojciec Kutbert?

Trzymam u siebie księży. Nie jestem chrześcijaninem, ale ukrzyżowany bóg zyskał taką popularność, że większość moich ludzi wyznaje chrześcijaństwo, i w tym czasie Kutbert był moim kapłanem. Lubilem go. Był synem kamieniarza. Tyczkowaty i niezdarny, ożenił się z wyzwoloną niewolnicą

o osobliwym imieniu „Mehrasa”. Tę ciemnoskórą piękność pojmano na jakimś dziwnym, odległym południowym lądzie i przywieziono do Brytanii. Handlarz niewolników, który ją sprowadził, zginął od mojego miecza. Mehrasa zawodziła i krzyczała, że jej mąż jest zgubiony.

– Dlaczego nie było go w kościele? – zastanawiał się Osferth. W odpowiedzi otrzymał tylko wzruszenie ramion.

– Dupczył się z Mehrasą? – zapytałem kwaśno.

– Czy nie zawsze tak robi? – W głosie Osfertha znów porzmięwała dezaprobata.

– Więc gdzie on jest? – ponowiłem pytanie.

– Może oni go zabrali? – zasugerował Sihtric.

– Zazwyczaj zabijają księży, zamiast brać ich w niewolę – odparłem.

Zbliżyłem się do spalonego domostwa. Ludzie grabili popiół, wywlekali zwęglone, dymiące się belki. Może tam kryje się zeschnięte, szerniałe ciało Kutberta.

– Opowiedz mi, co widziałeś. – Zażądałem, żeby Osferth ponownie powtórzył swoją relację.

Po raz kolejny cierpliwie opowiedział przebieg wydarzeń. Był w fagranfordzkim kościele, kiedy usłyszał odgłosy wystrzałów dochodzące z mojego dworu. Wyszedł ze świątyni i zobaczył dym unoszący się na tle letniego nieba, ale zanim zebrał ludzi i dosiadł konia najeźdźcy zdążyli już odjechać. Ruszył w pościg i zdążył dostrzec Sigunn między porywaczami odzianymi w poczerniałe kolczugi.

– Miała na sobie białą sukienkę, panie, tę, którą lubisz.

– Nie zauważyłeś ojca Kutberta? – zapytałem.

– Był ubrany na czarno, tak jak większość jeźdźców, panie, możliwe więc, że go nie rozpoznałem. Nie udało mi się do nich zbliżyć. Pędzili jak wicher.

Pośród popiołu ukazały się kości. Kiedy przeszedłem przez miejsce, w którym niegdyś stały drzwi główne – pozostały po nich tylko dwa pale – poczułem smród spalonego ciała. Kopnąłem leżącą obok zwęgloną belkę i pod popiołem ujrzałem harfę. Dlaczego nie spłonęła? Struny zmieniły się w czarne kikuty, ale rama pozostała nietknięta. Pochyliłem się, żeby wyjąć instrument, kiedy jednak wziąłem go w dłoń, ciepłe drewno rozkruszyło mi się w rękach.

– Co się stało z Oslikiem? – zapytałem.

Oslic był harfistą, bardem, który śpiewał wojenne pieśni w moim dworze.

– Zabili go, panie.

Mehrasa zaczęła głośniej lkać na widok kości, które wyłoniły się spod popiołu.

– Powiedz jej, żeby się zamknęła! – warknąłem.

– To są kości psów, panie – powiedział człowiek z grabiami, skłaniając się w moją stronę.

Dworskich psów, które Sigunn tak kochała. To były małe teriery, znakomite do tępienia szczurów. Mężczyzna wydobyl stopiony srebrny półmisek spod popiołu.

– Nie przyjechali, żeby mnie zabić – odezwałem się, nie odrywając wzroku od żeber psa.

– Kogóż więc? – zapytał Sihtric, który kiedyś był moim sługą, a wtedy należał do służących mi wojowników, i to dobrych.

– Przyjechał po Sigunn – odparłem, bo nie znajdowałem innego wytłumaczenia.

– Ale dlaczego, panie? Przecież nie jest twoją żoną.

– Wie, że mi na niej zależy, a to znaczy, że czegoś ode mnie chce.

– Kanut Długi Miecz? – zapytał złowieszczym tonem.

Jak Gra o tron, ale prawdziwa.

„THE OBSERVER”

**Bernard Cornwell tworzy najlepsze
sceny batalistyczne spośród wszystkich
pisarzy, których czytałem.**

GEORGE R.R. MARTIN

Siódmy tom bestsellerowej serii Bernarda Cornwella o losach bohatera Uhtreda z Bebbanburga. Na jej podstawie BBC realizuje serial *Upadek królestwa*.

Najstarszy syn Uhtreda zostaje mnichem. Ojciec wyrzeka się go, odbiera mu imię Uhtred Uhtredson i nadaje nowe – Judasz. W gniewie Uhtred zabija niechcący szanowanego opata, za co zostaje wyklęty przez Kościół i wygnany. Klątwa spadnie także na tych, którzy pozostaną przy nim. Z garstką wiernych ludzi Uhtred wyrusza do Northumbrii, by odzyskać Bebbanburg...

Więcej o całej serii:

www.wojnywikingow.pl

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-563-1



9 788375 155631

Cena detal. 54,90 zł



WYDAWNICTWO
OTWARTE

